

Urszula M. Benka

[Mam opór z udzieleniem odpowiedzi...]

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 5 (53), 166-168

1998

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

oczyna zawsze to, co powiedział wieszcz w swojej *Improwizacji w Dziadach*. Hasłem naszym powinna być miłość, obejmująca wszystkie klasy, wszystkie stany:

Ale ta miłość moja na świecie,
Ta miłość nie na jednym spoczęła człowieku
Jak owad na róży kwiecie:
Nie na jednej rodzinie, nie na jednym wieku.
Ja kocham cały naród! – objąłem w ramiona
Wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia,
Przycisnąłem tu do łona,
Jak przyjaciel, kochanek, mążzonek, jak ojciec:
Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić,
Chcę nim cały świat zadziwić...

Urszula M. Benka

Mam opór z udzieleniem odpowiedzi, bowiem Mickiewicz – odkąd sobie to uświadamiam – wywołuje we mnie wstręt. Składa się na to wiele przyczyn związanych z moim osobistym i artystycznym dramatem. Rymkiewicz w *Żmucie* powiedział, że zrozumienie Mickiewicza jest zawsze samozrozumieniem. Ja ujęłabym to nieco inaczej: nie pojmując samych siebie, uznajemy cudze światy za własne i wierzymy w ich obiektywną rzeczywistość – nasza zaś rzeczywistość wewnętrzna staje się wrogiem tej iluzji.

Również same wizerunki Mickiewicza pogłębiały moje zniecierpliwienie i niesmak. Nie ufałam tej twarzy – martwiącej się o mnie, a ignorującej moje fascynacje, tak jak ongiś ignorowane były fascynacje Słowackiego, Hegla, Norwida, uczucia Celiny z Szymanowskich, córki Marii, brata Franciszka, Marii Puttkamerowej, czy artystyczne możliwości Czechów lub Rosjan. Ja nie wierzę w poetyckie wglądy ludzi głuchych na własne środowisko, gdyż odpychanie tego konkretnego tworzy nie fikcje, ale insynuacje, nie symbol, ale pozę. I o ile odbiorca takich namiastek też nie pragnie własnej rzeczywistości, zaczyna się chorobliwie przywiązywać do zastępczych formuł i duchowego – więc i artystycznego też – życia na niby. Obala np. konwencje, ale tylko po to, by zadekretować własne sztance. Nasza niezgoda na wyczuwalne fałszywe romantyczności uderzała np. w Kasprowicza, aby potulnie oddać się dewocji maszyny, masy i miasta, sama zaś Mickiewiczowska zasada autorytarności nie tylko pozostała, ale nadal wspierała się powagą imienia Mickiewicza. Ten antyromantyzm nie dokonał więc czegoś, co nazwałabym introspekcją i nie ochronił nawet przed naiwniutką

apoteozą wojny. Magia wielkiej wojny rozwiązującej pęta! Jakże ściśle ta wiara Tadeusza Peipera współgra z permanentnym stanem depresji naszych elit, rozdartych między „wszystko” i „nic”, wstydzących się każdego zakorzenienia i konsekwencji filozoficznej, która naprawdę jest po prostu samodyscypliną. Gombrowicz we *Wspomnieniach polskich* pisał, że nie mamy w kulturze tej szczególnej „klasy średniej”, stawiającej wobec konkretnych dylematów intelektualnych oraz dramatów (przeżyć) kreatorskich. Bo tak jak w społeczeństwie klasa średnia formułuje istniejące problemy oraz rozwiązuje te problemy, tak średnie pasma literackie wyrażają zbiorową rzeczywistość duszy. Polskie elity tchną wrogością i do „średnich poziomów”, i do „mierzw”, czyli faktycznie posiadane fundamenty. Powołują się na najwyższe i na nieweryfikowalne punkty odniesienia: sam Mickiewicz też stanął poza zasięgiem weryfikacji – i poza czytelnym prawem do weryfikacji. Mickiewicz był i jest wdrażany od dzieciństwa, jak religia, która zabezpiecza się przed ryzykiem swobody wyboru. Mickiewicz wyręcza w cierpieniu i wielkości, ale szczerze wątpię, aby odczuwał je naprawdę, gdyż cofał się przed konkretem psychicznym. Konkretem rzeczywistości emigracyjnej i wolnościowej.

Rozumiem ten stan duszy. Po prostu nie imponuje mi małpowanie postaw narodowyzwoleniczych przez ludzi biernych lub natrętnie nieskutecznych, i brnących przy tym z jednych uwikłań prosto w następne, spod policyjnego terroru w konwenanse salonów policyjnego państwa, stamtąd zaś w nieszczęśliwe małżeństwo, toksyczne sekty, polityczne demagogie. Tę postawę Erich Fromm określił jako ucieczkę od wolności. Stała się wszakże wzorcem. A inny wzorec – wallenrodyzm. Który wmusza stosowanie pojęcia zdrady do sytuacji, gdzie naprawdę nie tylko nie wyrażono zgody na narzucany system wartości, ale chodzi o odmowę psychicznego i fizycznego samobójstwa.

Zdrada jest czymś innym. Czym, tego jednak Mickiewicz nie chciał doznawać, więc i wiedzieć. Poeta nie może pozostawać teoretycznym znawcą psychologii swoich bohaterów i ostentacyjnie „nie znać” fragmentów przynależnej im rzeczywistości. Bo czy Wallenrod albo Robak ma coś wspólnego z Judą z Kiriatu Bułhakowa? Z *Trzema wersjami Judasza Borgesa*? Nasz bohater tragiczny zostaje usprawiedliwiony: czynimy to w ten sposób, że przekonujemy samych siebie, że w istocie nie było zła.

W identyczny sposób postępował poeta we własnych wiwiskacjach. I nie inaczej postąpił jego czytelnik, utwierdzający się w przeświadczeniu o iluzoryczności zła. Zło pozostaje na niby – ale tylko w mniemaniu kogoś, kto nie doświadcza jego (ani własnej) rzeczywistości.

Dla mnie polska literatura, w czasach stanisławowskich jeszcze polifoniczna, mająca obok siebie i Karpińskiego, i Trembeckiego, i barszczan, i Kandyda, i de Sade'a, Russa i wojska na smokach latające, z nastaniem Mickiewicza stała się jak literatura rosyjskiego imperium z nastaniem Stalina: jedynie słuszną a głuchą i ślepą na rzeczywistość. Zawistna walka o monopol kulturotwórczy, ignorowanie niewygodnych faktów i natęstwo wyescalowanych, nieweryfikowalnych kategorii tam, gdzie przydaje się właśnie prozaiczne a trzeźwe stanięcie na ziemi, są owocami stalinizmu – i psychicznego stalinizmu wprowadzonego u nas przez Mickiewicza, obu toksycznych osobowości nieczułych na matki, żony i przywoływanych filozofów.

Ostatnia rzecz: nie uważam Mickiewicza poezji za piękną. Ja piękno odczuwam całościowo, w jego greckim jeszcze kontekście: Sophii i Agape. Bo sztuka ma bardzo mało wspólnego z formalną estetyką, co wykazał już Sokrates u Platona. Estetyka w gruncie rzeczy wyraża naszą głuchą nienawiść do sztuki jako doświadczania tych metaestetycznych horyzontów, jakie uosabiał Apollin podróżujący do Krainy Cienia, Apollin, którego delfickie sanktuarium wzywało do samopoznania z całym ryzykiem, że konstatacje okażą się nieoczekiwane, niewygodne, zmuszające do przewartościowania pewników. Otóż Apollin „rozszarpywał” artystów, co jak Marsjasz naruszał autonomię artystycznej świętej enigmy. Którzy rywalizowali z Bogiem i starali się go wykluczyć, a przynajmniej odsunąć na bok. Ich słuchacze – mówi mit – byli jak Midas, uszy mieli ośle. Wiedzieli o artyzmie dopiero wtedy, w zasadzie, gdy ich poinstruowano. Jak nas, którzy od dziecka pouczeni jesteśmy o wielkości Mickiewicza, o jego uroku. Jakby w obawie przed ryzykiem, że spontaniczny odbiór doprowadziłyby ku innym wnioskom. I „rozszarpał” polskiego Marsjasza.

Józef Hen

Mickiewicz był młody

Tak się złożyło, że właśnie teraz, w roku mickiewiczowskim, jestem z pewnych przyczyn pochłonięty Boyem-Żeleńskim. Nie mówię tego po to, żeby mieć pretekst do spojrzenia na Mickiewicza poprzez *Brązowników*. Wręcz przeciwnie, wolę odsunąć tę książkę na bok. *Brązowników* czytałem jeszcze w gimnazjum i pamiętam, że było